ROZRYWKI LITERACKIE

prozą i wierszem.

Tomik I.

W Poznaniu 1824.

W księgarni *E. S. Mittlera.*

PRZYPADKI

MACIEJA Z RYCZYWOŁA,

przez niego samego opisane.

Memoria praeteritorum, futurorum prudentia.
Cicero.

Oyciec móy był bardzo surowych obyczajów, bo się wychował w jednym z tych domów, gdzie przez zbyteczną gorliwość w przestrzeganiu cnoty, powstawano nawet przeciw tym uchybieniom, które się jey bynaymniey nie sprzeciwiają; gdzie błędy lekkości ściągały na siebie karę występkom tylko przynależytą. Przedsiębiorąc opisać przypadki życia mego, nie jest moim zamiarem zastanawiać się, czyli zbytek gorliwości o samę nawet cnotę, może być użytecznym; powiem tylko, że młodzież utrzymywana

z naywiększą i źle zrozumianą surowością myśli po niewolniczemu; a nie znając piękności cnoty, nie zawsze ją pełni dla niey samey; bojazń tylko ściągnienia na siebie ostrości swych przełożonych, lub opiekunów, tłumi w niey wszystko, nawet i te skłonności, któreby z wiekiem do prawdziwey cnoty doprowadzić mogły. Rodzice oyca mego, którzy go jeszcze w dzieciństwie odumarli, *nie zostawili mu nic* prócz paki papierów sznurkami obwiązaney i zakurzoney, która w czasie miała być całém jego dziedzictwem; a szlachcic jeden mieszkający w sąsiedztwie, który był jego oycem chrzestnym, szczęściem znaydując się przy śmierci mojey babki, wziął go do siebie na wychowanie. Skoro tylko umiał mówić, uczono go czytać, pisać i cokolwiek rachować. Nie oddano go do szkoł, bo jak opiekun jego mawiał, wyższe nauki służyły tylko wyższym stanom; że to niezmiernych wymagało kosztów i że dla mego oyca, który żadnego nie miał majątku, dość było umieć czytać po polsku, dla zrozumienia książek na-

bożnych i żywota Świętych, co też i w dalszém życiu oyca mojego było, całodziennem jego zatrudnieniem. Wiedział dobrze móy oyciec, iż nie miał rodziców, i że go jako sierotę z miłości chrześciańskiey wychowano: przeto taką powziął ku dobrodziejowi swemu wdzięczność, że nie raz w życiu powtarzał, iż w całym świecie nie masz drugiego pana, któryby z taką pewnością mógł się nieba *spodziewać. Z resztą jakie były* szczegóły wychowania mego oyca, nie mogę wiedzieć, bo mi sam o tém nigdy nie mówił, a pytać się o co oyca swego, byłoby podług nauk mi dawanych występkiem przeciwko uszanowaniu; wszystko zatém co o jego młodości wiedzieć mogę, słyszałem przypadkowo częścią z ust mojéy matki, częścią z ust osób zupełnie obcych.

Oyciec moy przejął wszystkie cnoty opiekuna swego, lecz też równie i od dziwactw jego nie był wolny; (wyznanie to niech mi czytelnik przebaczy, bo wierny dziejopis niczego zamilczać nie powinien); a jak się to często zdarza, że uczeń przechodzi

swego mistrza, tak i tu móy oyciec byłby go przeszedł w surowości, gdyby wrodzona bojazń i nieśmiałość, nie łagodziła w nim téy, że tak rzekę, nietolerancyi, którą był uniesiony przeciwko wszystkim innym ludziom, którzy nie tak jak on myśleli; a nie mogąc zmienić ich zdań, ani użyć swéy powagi na ich ukaranie, wzdychał tylko i modlił się.

Gdy miał iuż lat 20, opiekun jego przekonany o wierności i rzetelności oyca mojego, polecił go pewnemu prałatowi, który go raczył natychmiast mianować swoim poufałym Fac-totum. Odprawiając go od siebie opiekun, rzekł mu: chłopcze! nauczyłem cię być dobrym i poczciwym, kochay twego pana i bądź mu wiernym i wdzięcznym za jego dobrodzieystwa, a będzie ci dobrze. Oto masz; tu włożył mu w rękę trzy tymfy — a pamiętay abyś tego nie użył na rozpustę. Potém wyjął z szafy okurzoną pakę papierów i oddał mu ją mówiąc. Tomaszu! to ci zostawił twóy oyciec, może ci się to przyda, ale pamiętay

chłopcze, aby cię to nie uczyniło wyniosłym i grzesznikiem, pamiętay że pokora i wdzięczność dla twoich dobrodziejów jest twoim naypierwszym obowiązkiem. Oyciec móy zastraszony tą mową, chciał się już wyrzec na zawsze swego zakurzonego skarbu, ale ciekawość, coby się tam znaydowało, przemogła że go zatrzymał; rzucił się do nóg swego dobrodzieja, a oblewaiąc je łzami pokory, *wyrzekł ostatnie pożegnanie*; potém pokłoniwszy się do nóg swemu nowemu panu, siadł na kozieł przed jego powozem i tak zajechał do Lublina, gdzie pan jego był officyałem. Po dwuletnich wiernych usługach officyał zabieraiąc się do wieczności, polecił go tamecznemu biskupowi, który go mianował swoim faworytem i dworu marszałkiem. Natenczas oyciec móy zaprzyjaznił się z całą kapitułą, a nie znając innego stanu nad ten, z którym zawsze obcował, tak w nim zasmakował, że nie czując się być zdolnym do posiadania umiejętności temu stanowi potrzebnych, postanowił przynaymniey całe życie zostać bezżennym i tak

służyć panu Bogu; a na pierwszy dowód swego upokorzenia się, przeczytawszy z kapelanem biskupim pakę swoich papierów i znaydując w nich dowody, że pochodzi ze starey krwi szlacheckiey, dla uchronienia się pokusy dyabelskiey, wrzucił ją w ogień. W krótce jednak za poradą księdza kapelana i samego nawet biskupa, zapominając o pierwszem postanowieniu, przyrzekł dozgonną wierność małżeńską pewney panience w Ryczywole, wymagając jednak od niey, aby się na lat przynaymniey 6 zaraz po ślubie rozłączyli. Już moja przyszła matka, miała na to zezwolić; ale wymowa pasterska samego księdza biskupa dowiodła, że im ślub nie na to był dany. Oyciec móy słysząc tak słodką wymowę pasterza, poddał się, uznając w tem prawdziwe powołanie. Matka też moja nie sprzeciwiała się temu, i w krótce ich złączono. W kilkanaście dni po weselu trzeba się było jednak rozłączyć, bo matka moja musiała mieszkać przy familii swojey w Ryczywole, gdy ksiądz biskup i móy oyciec objeżdżali dyecezyą. Gdy się czas

urodzenia mego zbliżał, oyciec móy uprosił swojego pana, aby mu na kilka dni pozwolił jechać do Ryczywoła. Przybył w samę porę; lecz skorom tylko uyrzał światło dnia, stałem się natychmiast przyczyną zgryzoty mego oyca; bo w kilka godzin potém słysząc mię wrzeszczącego, wnosił, iż skłonności moje nie miały być skromne i że trudno będzie dotrzymać ślubu, który uczynił, iż pierwszy syn jego musi być księdzem. Nie przewidział móy oyciec, iż ja wcale do czego innego byłem stworzony. Nie mógł się uspokoić, lubo go przekonywano, iż wrzask móy był raczéy skutkiem jakowéyś boleści, nie oznaką przyszłéy rozpusty. Nie mogąc długo bawić z nami, odjechał zasmucony, polecając nas, a osobliwie mnie, panu Bogu, i czasem nas tylko odwiedzał. Kiedym miał pół roku, jak mi to późniéy matka powiadała, odwiedził ją rodzony brat Rafał, który był proboszczem mającym 20 tysięcy czystego dochodu i prosił jéy o pozwolenie, aby, gdy wyrosnę, mógł się mną opiekować i na moje łożyć wychowanie; co po-

twierdził nayuroczystszém przyrzeczeniem. Kończyłem już cztery lata, kiedy móy oyciec przysłał po nas z Lublina konie, zalecając, abyśmy się na pół roku wybrali, bo tak długo mogliśmy tam zabawić. Gdyśmy przyjechali, oyciec móy przywitawszy moję matkę, obrócił się do mnie z temi słowy: a ty chłopcze umiesz już co? potém zaczął mię uczyć oracyi, którą mu na ten koniec X. kapelan napisał, a którą miałem powiedzieć księdzu biskupowi na przywitanie. Byłem pojętny i w krótce nauczyłem się dość dobrze wierszy, które aż do dziś dnia pamiętam; lecz niechcąc nudzić mego czytelnika takiemi drobnościami, omijam je; dość będzie kiedy powiem, żem się niezmiernie podobał pasterzowi; pogłaskał mię, dając mi pół złotego na bułkę papieru i mówiąc do mego oyca: z czasem to będzie z tego piękny ksiądz.

Przez ciąg bawienia naszego w Lublinie, oyciec móy uczył mię sam czytać, co dość łatwo poymowałem. Gdy się to działo ksiądz biskup zachorował i wkrótce umarł, zostawując dziedzicem swojego synowca; i

lubo w testamencie zastrzegł to wyraźnie, żeby wynagradzając wierne usługi Tomasza oyca mego, miało nim staranie i los jego zapewnił, jednakże ten nowy dziedzic nie dał nic memu oycu, zlecił tylko jednemu ze swoich krewnych w jego wsi mieszkającemu, aby moich rodziców przy sobie umieścił tymczasem, nim powróci z zagranicy, dokąd na dziesięć lat wyieżdżał. Potém jak mówił — pomyśli o ich losie, a teraz musieli poprzestać na szczupłey pensyi, jaką im zostawił. Móy oyciec z natury bojazliwy i łatwowierny, przystał na to, pomimo płaczu i narzekań moiey matki, i pojechaliśmy do wsi nam przeznaczoney. Stan nasz teraźnieyszy był dość biedny, bo oyciec móy nie myśląc nigdy o światowey przyszłości, nic nie uzbierał; wypadało zatém bardzo skromne prowadzić życie.

Pan Prostochwał podczaszy, do którégośmy przyjechali, przyjął nas mile, oświadczając, iż jak długo tylko zabawić u niego zechcemy, na niczem nam schodzić nie będzie, bo go o to Pan Marcin jego powino-

waty, szambelan J. K. Mci upraszał. Co do mnie, naywięcey mi się podobała sama pani podczaszyna, bo mię sobie mocno polubiła i często dodawała mi przysmaczków, za co ją nazywałem nieoszacowaną moją dobrodzieyką. Czasem nawet, gdy mię matka moja obić chciała, znalazłem naypewnieyszą obronę pod łóżkiem pani podczaszyney; nie zawsze mi to jednak wychodziło na dobre, bo od oyca mego odbierałem za tę ucieczkę, plagi z prowizyą i oświadczeniem, że ze mnie nic poczciwego nie będzie, i lubo wówczas nie wiele miałem wyobrażenia o poczciwości, jednakowoż takie oświadczenia martwiły mię niezmiernie. Sam pan podczaszy nie wdawał się tyle w moie interessa i tylko czasem głaszcząc mię, nazywał łebskim chłopakiem. Pamiętam raz, kiedy z moim oycem mówiąc o mnie, powiedział te słowa: Panie Tomaszu, nie bądźże dziwakiem, a uyrzysz co to będzie za chłopiec, tylko nie trzeba się z nim tak surowo obchodzić, bo w nim wszelką pojętność przytłumicie. — Ale dla boga! rzekł móy oyciec, jakże młodego

nie bić, a to będzie wierutne nic dobrego. — Robcież sobie co chcecie, rzekł pan podczaszy, ale pamiętaycie że to nie tym sposobem wychowują dzieci. — Nie wiem co mi za myśl przyszła do głowy, żem się pokazał, możebym był więcey usłyszał; ale oyciec móy obrażony moją obecnością, schwytał mię za rękę i obiwszy porządnie, kazał jeszcze klęczeć trzy godziny na grochu, za moję, jak mówił niepoczciwość; bo, dodał, dzieci nie powinny słuchać co starsi mowią. Pan podczaszy potrząsł głową i odszedł, a ja byłbym musiał zapewne pokaleczeć kolana, gdyby mię była pani podczaszyna nie uratowała. Takie były początki mego wychowania. Naypierwszą moją było cnotą milczenie w obecności oyca, bo mi nie dał nigdy mówić, tylko kiedy byłem pytany; ale za to w niebytności jego, nagradzałem sobie tę moję mękę, wdając się w rozmowy które wcale do mnie nie należały. Dochodziłem już lat siedmiu, trzeba było myśleć o moich dalszych naukach, umiałem dopiero czytać po polsku i po łacinie; przytem kilka

słów niemieckich na pamięć, których mię stary lokay pana podczaszego nauczył. Oyciec móy nie był w stanie oddania mię do szkoł odległych, a w bliskości nie było żadnych. Teraz była pora zgłoszenia się do księdza Rafała mego wuja z przypomnieniem przyrzeczeń. Matka moja pisała do niego kilka listów, ale się zawsze uskarżał na ciężkie czasy; nakoniec dał to wyraźnie poznać, że mi teraz nic *dać nie może*, *jednak po skończeniu* szkół dopomoże mi do obrania sobie stanu; a ieżelibym chciał zostać księdzem, opatrzy mię swoją starą garderobą. Po odebraniu takiego listu, matka moja płakała, oyciec wzdychał, a ja byłem księdzu wujowi niezmiernie wdzięczny, bo mi się nie chciało jechać do szkół. Lękam się aby czytelnik nie posądzał wuja mego o niechęć dotrzymania obietnic; co do mnie przekonałem się w czasie, że jego wymówka była w ówczas słuszna, bo jakem się późniey dowiedział, matka moja właśnie w ten czas pisała do niego, kiedy miał nieuchronne wydatki, wyliczając razem 45 tysięcy na posag

dla iakieyś panienki w sąsiedztwie, którey matce wiele był obowiązany. Tym czasem móy oyciec utyskiwał zawsze, powtarzając że z Maciusia nie będzie żadney pociechy. Następująca okoliczność uwolniła go od tey troskliwości, ale na czas bardzo krótki. Pan Srogomysł chorąży sąsiad pana podczaszego, odwiedzając go często, widywał się z memi rodzicami. Był to szlachcic wzrostu dobrego i możeby fizyonomia jego była cokolwiek przyjemnieyszą, gdyby mi go ięgo postawa groźna i wzrok przerażający nie tak strasznym czyniły, osobliwie od czasu kiedy mię nie wiem za iakąś nieobyczayność złajał. Oyciec móy kazał mi go przeprosić upadnieniem do nóg, lecz on tego niedopuścił, mówiąc, iż tak niegodny chłopiec nie iest wart dotykać się nóg jego; odtąd postanowiłem nie pokazać mu się więcey i ile razy przyjechał, natychmiast się kryłem.

Jednego czasu oyciec móy wziąwszy mię za rękę, rzekł: Póydź ze mną chłopcze, zaprowadzę cię do naszego dobrodzieja, szedłem więc nie wiedząc dokąd i nie przewi

dując co mię czekało. Idąc upominał mię móy oyciec, abym tego dobrego pana, do którego mię zaprowadzi, pięknie przywitał i upadł mu do nóg. Uszliśmy małe ćwierć mili i znależliśmy się we wsi, na którey widok nie wiem jakieś przeczucie przejęło mię strachem i taka mię napadła lękliwość, iż mię oyciec ledwie żywego wprowadził do dworu, gdzieśmy przed naszym dobrodziejem stanęli. *Łatwo sobie czytelnik wystawi* jakie musiało być moje wzruszenie, gdy się dowie, iż tym naszym dobrodziejem, był (nie kto inny; ale) ów straszliwy pan chorąży, który mię niegodnym nazwał chłopcem. Oyciec móy kazał mi ucałować nogi jego, co natychmiast uczyniłem i chętniebym aż do nocy leżał na ziemi, aby się oczy moje nie zbiegły z jego zabijającym wzrokiem; ale kazano mi się podnieść i szlachcic zapytał mego oyca, czyli umiem już po łacinie. Umie czytać, mówił móy oyciec, ale ladaco nie chce się uczyć. — Alboż to nie ma bata, rzecze okrutny szlachcic? Za parę dni będę u was i wezmę go z sobą; u mnie się prze-

cie czego prędzey nauczy. Na to móy ociec odpowiedział bardzo niskim ukłonem i rozkazem ucałowania na nowo stóp jego. Apostata przekonany o swoje zbrodnie kiedy go stawią przed świętą inkwizycyą, poglądając na zapalający się stos, na którym ma umierać, nie tak drży z boiaźni, jak ja zadrżałem na wyrok, że mam być oddany w opiekę temu strasznemu człowiekowi. Szczęściem dla mnie, że móy oyciec nie długo tu bawił, bobym był może nie przeżył dnia tego. Powróciwszy do domu, naypierwszą moją było starannością wyspowiadać się mojéy matce, do któréy miałem dość śmiałości, zapewniałem ją, że umrę nieochybnie, jeżeli mię oddadzą temu tyranowi. Matka moja wiedząc dobrze, że sprzeciwienie się zamiarom mego oyca było niepodobne, cieszyła mię ze wszystkich sił, opowiadając mi, że pan chorąży jest ten sam co wychował mego oyca, który przecięż nie umarł, ztąd wniosła, że i ja nie umrę; przytem uwiadomiła mię o części historyi mego oyca, którą czytelnikowi już wyżéy dałem

poznać. Nie mogłem pojąć, jak można brać na opiekę dzieci, aby je równie jak mnie swoim wzrokiem zabijać. Uspokoiwszy się nieco, zacząłem przemyśliwać nad sposobami uniknienia niewoli; radziłem się moiey matki, czyliby schronienie pod łóżkiem pani podczaszyney nie mogło mię zasłonić od niebezpieczeństwa; już miałem jey prosić o uskutecznienie tego zamiaru, gdy mię ostrzegła, iż wywleczenie mię z tamtąd, ściągnęło by mi nieochybną chłostę i usposobiłoby surowego pana do tym ostrzeyszego ze mną postępowania. Trzeba więc było poddać się przeznaczeniu, i z trwogą oczekiwać chwili, która w moiem rozumieniu miała mię życia pozbawić. Nigdy zakonnik nayostrzeyszey reguły nie przestrzega tak ściśle czystości swych myśli, i nigdy z taką gorącością nie podnosi ducha do nieba, ile ja w ówczas modliłem się, aby godziny w lata mogły być zamienione; chciałbym, aby móy stary szlachcic zapomniał o mnie, albo żeby mię zupełnie znienawidził i na oczy mię swoje nie przypuścił.

Usychałem przez trzy dni z nabożeństwa, które jednak nie zostało wysłuchane; bo szlachcic w oznaczonym czasie zjawił się w zupełnem zdrowiu i wziął mię z sobą.

Nie będę opisywał zgryzot, jakich doświadczałem. Nie mogłem płakać, bo iedno spoyrzenie mego nowego opiekuna, krew we mnie mroziło; pożegnałem moich rodziców nie mówiąc ani słowa i wsadzono mię do powozu. Przez całą drogę milczałem i w milczeniu zajechaliśmy aż do domu opiekuna. Dano mi wieczerzą, którą przez gwałt jadłem, bojąc się aby mię nie obito za nieposłuszeństwo, gdybym był śmiał odmówić. Kazano mi iśdź spać, sądziłem, że ta noc będzie ostatnia życia mego; lecz płaczem i szlochaniem utrudzony, zasnąłem i to mię umocniło do znoszenia dalszych przykrości. Drugiego dnia mój opiekun posadził mię nad książką, z którey miałem się uczyć deklinacyi łacińskiey; przesiedziałem tak dzień cały i zdziwiłem się nie mało, widząc, żem w ciągu dnia tego, żadney nie doznał mego opiekuna ostrości. Tym spo;

sobem kończył się już dzień trzeci, a ja żadnego jeszcze nie wymówiłem słowa, i byłbym zupełnie mówić zapomniał, gdybym był dłużey jak tydzień został pod opieką mego dobrodzieja. Nikt mię nie zaczepiał, ja też sam mówić nie śmiałem. — Trzeciego dnia we wieczor kazał mi móy stary szlachcic przeyśdź się do drugiego pokoju, gdzie zastałem przy świetle kominkowém jéymość *z dwiema kobietami służącemi* przy kądzieli; a sądząc, iż w tém mieszkaniu wszyscy są osądzeni na wieczne milczenie, zadziwiłem się, gdym usłyszał iednę z tych kobiet opowiadającą swojéy pani jakąś baykę o czarach podlaskich. Ośmielony, odważyłem się wmieszać i odezwałem się nadto podobno wesołym tonem, co z niepojętéy radości pochodzić mogło, gdy w tém dał się słyszeć z drugiego pokoju głos mego dobrodzieja: chłopcze, cóżto tam za śmiechy! Przerażony jak piorunem umilkłem w postanowieniu milczeć na wieki.

Milczałem znowu dwa dni ciągle: jednego razu widząc opiekuna mego w czasie o-

biadu więcéy niż zwykle rozmawiającego z żoną, ośmieliłem się powziąć nadzieję, że i ze mną nie zawsze będzie milczał. Przypomniałem sobie w ówczas, że mi matka moja przed pożegnaniem przyrzekła, iż następującego tygodnia będę ją mógł widzieć, bo móy okrutny szlachcic obiecał odwiedzić pana podczaszego i mnie z sobą przywieźć. Chciałem się cieszyć nadzieją i byłbym szczęśliwy, gdyby mi ją był uczynił móy surowy dobrodziey. Nie mogąc znieść niepewności, przy obiedzie odezwałem się tonem zapytującym: po niedzieli pojedziemy do moich rodziców? Ofuknął mię, rzucając na mnie wzrok zabijający: milcz, a zobaczysz jak doczekamy. W téy chwili postanowiłem raczéy zapomnieć mowy, a niżeli się wystawiać na tym podobne przykrości. Po skończonym obiedzie widziałem mego srogiego opiekuna w lepszym humorze; to ośmieliło mię, żem częściey na niego poglądał; ale ku wieczorowi uyrzałem twarz jego zapaloną, klęknął i modlił się blisko pół godziny, potém nagle

wyszedł; nie wiedziałem co to miało znaczyć. Zacząłem jednak wolniey oddychać, bo mię przytomność jego nie dręczyła. Ale w krotce usłyszałem jęczenie jakieś przeplatane jakby biciem batoga; dreszcz mię przeszedł, bo miałem serce bardzo czułe, trząsłem się jak liść osikowy i mimo naywiększey chęci wyyrzenia za okno, dla obaczenia co się tam dzieje, nie śmiałem uczynić tego. *W tém wyszła jéymość* ze swego pokoju i wyyrzała za okno, a obracając się do mnie, rzecze: widzisz jakto biją kiedy kto ladaco, nie mogłam uprosić nic u mego męża, weźmie całe 100 batogów; ale bo też niecnota zawinił. *Cóż on zrobił?* zapytałem się nieśmiałym głosem. Co zrobił! odpowie jéymość, móy kochaneczku, oto ten niegodziwy: panie odpuść (dodała uderzając się po ustach) o mało com dziecięcia nie zgorszyła. Niech cię Bóg zachowa, abyś miał słyszeć o takiem bezprawiu. Móy Maciusiu, nie pytay się o to więcey nikogo, boby ci się co złego przytrafić mogło. Z tém odeszła, a ja nie więcey jak pierwey wie-

działem o całey rzeczy. Bicie trwało jeszcze ciągle, a moja febra mię nie opuszczała. Nakoniec uciszyło się i móy opiekun powrócił, a rzucając na mnie swóy wzrok okrutny, odezwał się: czy słyszałeś chłopcze? jak będziesz ladaco to i tobie tak będzie. Nie wiem co mię utrzymało żem nie zemdlał ze strachu, zwłaszcza gdym uyrzał wchodzącego jakiegoś człowieka, myśląc, że to jest jeden z oprawców, który przychodzi, aby ze mną toż samo, co z tamtym nieszczęśliwym, uczynił. I dopiero duch we mnie wstąpił, gdym usłyszał pana chorążego: o to masz złotówkę móy Grzelu, a jeżelibyś co podobnego dostrzegł, daway mi natychmiast znać, bo inaczey będziesz wspólnikiem niegodziwości. Grzel ukłonił się i wyszedł. W tem zaszedł powóz i móy okrutnik (takem go nazywał) wyjechał z domu, a febra mię opuściła. Dopiero zacząłem przemyśliwać nad tem, com widział i słyszał, ale nie mogłem zgadnąć coby był za występek tego nieszczęśliwego, którego dopiero katowano, i coby to było takiego co

sobie mój dobrodziey natychmiast pod sumieniem donosić kazał.

Byłbym podobno nigdy nie dociekł, gdyby mię był następujący przypadek nie objaśnił. Po odjeździe chorążego widząc się być cokolwiek wolnieyszym, chciałem użyć świeżego powietrza, do czego mię zachęciła jeymość mówiąc: idź Maciusiu, pobiegay sobie po dworze; wyleciałem prawie, a przebiegając wielkim pędem po różnych mieyscach zaszedłem aż do gumna, gdzie uyrzałem kobietę wieyską wydzierającą się z rąk iakiegoś mężczyzny. Pamiętay Błażku mówiła, żebyś tego całusa nie pożałował; wiesz, że tamten nieborak wziął za to sto batogów; w tém spostrzegli mię, i piorunem każde pobiegło w swoję stronę. Teraz domyślałem się, że ów biedny za pocałowanie wziął tyle batogów, i nie mógłem pojąć, jak ludzie mogą być tyle okrutni, aby za jedno pocałowanie, w którém nic złego nie widziałem, mogli tak srodze karać. Od téy chwili zacząłem nienawidzieć mego opiekuna; a przypominając sobie, że

móy oyciec czytał jakąś historyą, z którey się pokazało, że dwoje ludzi za samo całowanie poszło do piekła, nie mogłem tym bardziey pojąć, czemu dobrodziey móy, nie przestając na tém, że ów biedak będzie w piekle, kazał mu jeszcze na drogę wyliczyć 100 batogów. Powróciłem smutny, gniewając się na piekło, na batogi i na mego dobrodzieja. W krótce też i on przyjechał. Noc następująca była dla mnie okropną, nie mogłem spać, zdawało mi się, żem zawsze słyszał batogi i jęki nieszczęśliwego, a jeźlim zasnął, śniło mi się, że słyszę mego okrutnika: i tobie tak będzie! i znowum się zrywał. — W tey trwodze przeszło jeszcze dni dwa, milczałem zawsze i myślałem, że już mówić nie potrafię; bo oprócz tych słów, o których wyżey czytelnika uwiadomiłem, mentor móy tylko dwa razy zapytywał mnie o deklinacye, a odpowiedź moja, była wszystkiém mojém mówieniem.

Nadszedł nakoniec dzień, który moje męki zakończyć miał; ja o tém nie wiedziałem. Chorąży jadąc na obiad do pana pod-

czaszego, mnie wziął z sobą. Wysiadłszy z powozu, pobiegłem natychmiast do moiey matki, która mię nie poznała, takem znędzniał ze zgryzoty, a na zapytanie: czym nie chorował, odpowiedziałem jey zapewniając: iż nietylko ciągle byłem chory, ale, że przeszłey nocy miałem już umrzeć, i że umrę nieochybnie, jeżeli mi z moim opiekunem jeszcze jechać dozwoli. Matka moja wzruszona nędzą moją i łzami, poszła na radę do pani podczaszyney; skutek był dla mnie bardzo pomyślny, jak się to niżey pokaże. Nim matka moja powróciła, oyciec móy pytał się, czegobym się przez ten czas nauczył; odpowiedziałem, żem się nie nauczył niczego. Kłamiesz chłopcze, rzekł mi i odszedł. — Matka moja powróciła, i gdy dano do stołu, zostałem wpuszczony oknem do pokoju pani podczaszyney i ukryto mię różnemi brudami pod jey łóżkiem, a tak byłem bezpieczny, bo opiekun móy nie widząc mię wchodzącego, nie mógł mieć żadnego porozumienia gdyż do owego pokoju nie było innego wnijyścia. — Musiałem w mo-

jem schronieniu pozostać tak długo, ażby móy opiekun nie znalazłszy mię, odjechał. Ledwiem się nie udusił; ale śmierć nie była dla mnie tak okrutną, jak widok szlachcica, którego moim tyranem nazywałem. Wstano od stołu, a w krótce móy dobrodziey miał się do drogi; pot śmiertelny wystąpił na czoło moje, gdym to usłyszał. Uważałem potem jak mię wszędzie szukano, tylko nie tam *gdziem się znaydował. Matka* moja zapewniała, iż nie wie gdziem się podział, dodając, że mię sama odwiezie. Ale chorąży domyślając się, że to były wybiegi, zaczął się gniewać mówiąc: widzę, żeście wpaństwo z mojey łaski nie kontenci, teraz choćbyście mi go sami przywieźli, nie chcę go więcey widzieć; czegoście chcieli to macie. — Jak więzień, który się dowiaduje o swojem uwolnieniu, tak ja przejęty zostałem radością słysząc takowy wyrok; i teraz jeszcze zastanawiając się nad tem, ledwie pojąć mogę, dla czego mię łaska mego opiekuna przerażała, a gniew jego sprawiał mi radość. Na próżno móy oyciec

przebłagać go usiłował, na próżno matka moja zaręczała, że mię odwiezie, na próżno pani podczaszyna chciała to ułagodzić; okrutnik w swoiem przedsięwzięciu niewzruszony, powtarzał tylko: już go widzieć nie chcę i z tém odjechał. Pan podczaszy tylko trząsał głową i mówił: otoż macie, zrazili biednego chłopca i chcą, żeby się nie chował. Tu dopiero zaczął się nowy kłopot; oyciec móy czynił naywiększe wyrzuty moiey matce, mówiąc: że za jéy przyczyną Maciuś usposobi się na łotra; ale pani podczaszyna wzięła ten interes na siebie, upewniając, iż tylko ona wie gdziem się znaydował i że mię nie wyda, dopókiby móy oyciec nie dał słowa, że mi za to nic nie będzie; móy oyciec przyrzekał, że mię tylko rózgami otnie, co byłoby pewnie nastąpiło, gdyby się był nie wdał w to pan podczaszy zaręczając, iż się pogniewa na mego oyca na zawsze, gdyby mię za to obił. Oyciec móy, któremu łaska pana podczaszego była koniecznie potrzebna, rad nie rad musiał przyrzec, że mi da pokóy;

natenczas pani podczaszyna wywlekła mię z pod łóżka zimnym zlanego potem. Przepraszałem mego oyca, który mi wprawdzie dla dotrzymania słowa darował, dodając jednak, iż mi tego nigdy nie zapomni. Odetchnąłem przecięż; ale w krótce dały mi się uczuć skutki moich całotygodniowych zgryzot; tegoż zaraz wieczora dostałem gorączki, i dwie niedzieli nie mogłem wstać z łóżka.

Jeszczem nie wyzdrowiał zupełnie, gdy móy oyciec ułożył nowy plan edukacyi mojéy.

Proboszcz naszéy parafii był oyca mojego przyjacielem; tego więc uprosił, aby jako pleban, a zatém uczony, wziął mię do siebie na nauki, na co ten przystał chętnie i w krótce oddano mię do niego. Tu miałem życie daleko swobodnieysze. Zacny ten pleban nie był surowych ale owszem łagodnych obyczajów, często ze mną rozmawiał, nie zawsze mię trzymał nad książką i często mi sam rozkazywał, abym sobie poszedł pobiegać. Gdybym nie tęsknił do matki, którą okrutnie kochałem, byłbym tu sobie bynaymniey nie przykrzył, mając

dość wolności do wieku mojego stosowney; jeździłem z moim plebanem po odpustach, a nigdy nie dał mi uczuć swego przełożeństwa; do milczenia też nie zawsze byłem obowiązany. Kiedy pleban odjeżdżał na kilka godzin nie biorąc mnie z sobą, miałem wolność bawienia się u jego czeladzi, lubiłem słuchać ich bajek, a jeżeli się trafiło, że powrócił późno w noc, wtenczas z czeladzią nocowałem; miał bowiem zwyczay stancyą swoję odjeżdżając zamykać, a przyjechawszy do domu, przebudzać mię nie kazał. Jużem się był z tym rodzajem życia oswoił, gdy pewny przypadek skłonił oyca mego do zakończenia teraznieyszey szkoły mojey. Jednego dnia przybył móy oyciec, aby mię na dni dwa świąteczne wziął do domu, a ponieważ mieszkanie nasze było nie daley jak o małe pół mili, odprawialiśmy podróż pieszo. Idąc zadawał mi oyciec móy różne zapytania, na które skromnie i krótko odpowiadałem, pamiętając o tey nauce, iż tylko to mówić należało, o co mię pytano. Gdy jednak w ciągu podróży oy-

ciec mój chciał słyszeć odemnie, jaki porządek życia zachowujemy; ośmielony tém jego zapytaniem, chcąc oraz nagrodzić sobie za wszystkie czasy, w których mi z nim nie wolno było rozmawiać, opowiadałem wszystko jak naydokładniey, nie opuszczając naymnieyszey okoliczności; uważałem, iż mu się nie wiele podobało, gdym powiedział, że znaczny czas z czeladzią przepędzam. Kończąc daléy wierne moje opowiadanie, nie zamilczałem i tego, że ksiądz wikary nie zastawszy raz plebana, przyszedł do izby czeladniey, gdzie przywitawszy przytomnych, córeczkę gospodyni pogłaskał i pocałował. To opowiedziawszy, dałem oycu mojemu poznać moje wielkie zadziwienie, że ów stary szlachcic za jedno pocałowanie kazał dać biednemu parobkowi sto batów, bo, mówiłem, gdyby to było grzechem, toby tego ksiądz wikary nie był uczynił. Na te słowa mój oyciec zawołał: przestań już paplać chłopcze, przestań, ja się ciebie o to nie pytałem, a ty gdybyś był co poczciwego, toś na to nie

powinień patrzeć. — Tak skończyło się moje opowiadanie i powróciliśmy w milczeniu do domu. Ledwie oyciec móy pozwolił mi przywitać matkę moję, gdy się odezwał w te słowa: co za nieszczęście z tym chłopcem! ladaco jakieś, uciekł od pana chorążego; a tu go więcey oddać nie mogę. Zostałem przeto w domu i odtąd więcey jak dwa lata prowadziłem życie zwyczayne, jadałem przysmaczki od pani podczaszyney i często pod jey łóżkiem bywałem.

Miałem lat 10, gdy oyciec móy odebrał zlecenie, aby jechał na objęcie rządu w dobrach swego pana o trzy mile ode Lwowa leżących; natenczas o mojey edukacyi nie można było wątpić, i stanąwszy na mieyscu, zostałem natychmiast odwieziony do Lwowa i zoztawiony w szkołach pod dozorem bardzo uczciwego człowieka, którego później czytelnikowi dam poznać. Pierwszego dnia, stanąwszy przed przełożonym szkół, miałem zaraz kłopot, nie umiejąc powiedzieć mego przezwiska; odpowiedziałem tylko, że móy oyciec pan Tomasz, inaczey się

nie nazywał; ja zaś, na imie Maciey, żem się urodził w Ryczywole: zapisano mnie więc, Maciey z Ryczywoła. Po dwuniedzielnych płaczach z tęsknoty do domu, uspokoiłem się, i takem się przywiązał do nauk, za pomocą i staraniem mego domowego nauczyciela, iż wcale tęsknić przestałem, rzadko tylko widując moich rodziców kiedy mię odwiedzali. W przeciągu lat 5 umiałem już *kilka języków i znaczne* początki *filozofii*, ale nie miałem naymnieyszego wyobrażenia o sposobie obcowania z ludźmi, całe bowiem towarzystwo moje składało się, albo z współuczniów, albo z nauczycielów. Z niewiastami, oprócz mojey gospodyni, nie rozmawiałem, a widując je tylko albo w kościele, albo w teatrze, dokąd mię bierał mój nauczyciel, nie miałem się bynaymniey z niemi obchodzić. Dochodziłem lat 17 i wielkie o mnie utrzymywano nadzieje, mówiono bowiem, iż zawsze w naukach byłem pierwszym. Nauczyciel móy domowy, którego panem Franciszkiem nazywać będę, było jeden z tych ludzi,

którzy własnem doświadczeniem nauczeni, umieją nayiepiey ocenić serce ludzkie; wolny od wszystkich przesądów, uczył mię poznawać świat i zważać ludzi w ich właściwey postaci; nie poznałem ich jednakże dobrze, dopóki sam nie doświadczyłem ich zdrady, chytrości, sztuk i podeyścia. Pan Franciszek nie powtarzając tego, że był moim nauczycielem, był nim istotnie, różny od owego *straszliwego* chorążego, uczył mię wszystkiego z łagodnością, a dla tym pewnieyszego dopięcia swoich zamiarów, stał się naprzód moim przyjacielem, a z czasem takeśmy się pokochali, że pamięć tego szanownego człowieka, jest mi zawsze droga.

W czasie jedney z przechadzek, którycheśmy często, rozmawiając o uczonych przedmiotach używali, napotkaliśmy grono kobiet, pomiędzy któremi jedna ściągnęła naybardziey moję uwagę i zdawała się równie mocno we mnie wpatrywać. Uczułem pierwszy raz w sobie jakoweś poruszenie którego dotąd nie znałem, i nie wiem, czy-

lim był zdolny odpowiadać na zapytania mego przewodnika. Postrzegł zaraz to moje pomieszanie i rzekł mi te słowa: „Żałuję żem cię tu przyprowadził, bo widzę, że ze zmienionym humorem powracasz.“ — Pierwszy raz stałem się względem niego skrytym i zapewniałem go, że humor móy jest ten sam, ale że mi się w głowie kręci. Uśmiechnął się, mówiąc: „Wierzę temu; ale to zapewne przeminie“ — „*O tak zapewne!*“ *odpowiedziałem* z westchnieniem, które mi się poniewolnie wymknęło. Powracaliśmy do domu mówiąc mało, a móy przewodnik zdawał się więcey niż zwykle być na mnie uważnym.

Następującey nocy nie zmrużyłem oka, tak mię dręczył obraz tey, którą pierwszy raz widziałem, a która się tak gwałtownie wkradła do serca mego. Dzień już był, a ja nie spałem jeszcze, gdym uyrzał wchodzącego Franciszka. „Przychodzę cię pocieszyć,“ rzekł z uśmiechem, „jeżeli jakiego potrzebujesz pocieszenia.“ — „Szanowny człowieku, twoja przytomność jest mi zawsze

miłą, *odpowiedziałem*, a teraz tym barbziéy, gdy mi już krótki tylko czas zostaje do cieszenia się z tobą (bo powinienem uwiadomić czytelnika, *iż Franciszek*, odbierając inne przeznaczenie, miał się oddalić, a ja, podług zdania wszystkich, nie potrzebowałem już żadnego szkolnego przewodnika).“ „Wdzięczny ci jestem, — *mówił* Franciszek, — znam twoję przyjaźń dla *mnie, i przychodzę ci się* wywdzięczyć. Kilka już lat żyjemy z sobą, a *ty nie wiesz* jeszcze kto jestem. Chcę cię uwiadomić o wszystkiém, bo wart jesteś mego zaufania.“ Na te słowa zarumieniłem się; zdawało mi się, iż mi wyrzuca na oczy nieufność względem siębie po wczorayszym *przypadku*.

Historya Franciszka * * *.

„Historya moja“ rzecze móy przyjaciel, „jest krótka i bardziey może zadziwiająca dziś, aniżeli ci się wydawać będzie wówczas, gdy poznasz świat doskonale. Opowiem ci ją, bo ci może służyć za przykład

w życiu twoiém; znaydziesz w niéy zdarzenia, którymbyś może nie wierzył, a przecież są prawdziwe.“ — „Nie rozumiem, przerwałem, abyś był kiedy nieszczęśliwym.“ — „Wstrzymay twoje zdanie, dopóki nie usłyszysz, rzekł. Nie jestem nieszczęśliwym, lecz nie każdy w mém mieyscu byłby nim tak mało: bo masz o tém wiedzieć, że nie wielka jest liczba ludzi, którzy nie przywięzując się do czczych uroień, zdołaią znaleźć prawdziwe szczęście. Co się mnie tyczy, jestem nad innych tyle szczęśliwszy, że religia i filozofia potrafiły wzmocnić móy umysł, i nie dozwalają tyle uczuwać owych niepomyślności, któreby może kogo innego o rozpacz przyprawiły. Nie sądź jednak, iżbym i ja nie miał niekiedy westchnąć; tak jest słabe przyrodzenie ludzkie, iż trudno jest wygluzować zupełnie wszelką próżność z umysłu i serca naszego. Masz więc wiedzieć kochany Macieju, że jestem synem człowieka bardzo pospolitego, który przecież nie był nim w istocie, bo pochodził z familiy niegdyś pierwsze

w kraju trzymających mieysce. Dziadek mój był synem majętnego Wojewody, a ja jestem synem człowieka, który ciężko na chleb pracować musiał.“ — „Dla boga, przerwałem, cóż za sprzeczność i jak to być mogło.“ — „Przewidziałem to, rzekł Franciszek, iż ci się historya moja wyda niepodobną do prawdy, jest jednakże nayrzetelnieyszą. — Powiedziałem ci już, że dziadek *mój był wojewodzicem*, posiadał przytém majątek ogromny, i nie *pospolite* pomiędzy ziomkami swemi znaczenie: dziedziczył on wszystkie cnoty, ale oraz nałogi i przesądy swoich przodków, i to było przyczyną, że oyciec mój został w tak biednym stanie pogrążony. Nieuhamowana chęć bicia się w pałasze i pieniactwo zruynowały już dostatecznie majątek mego dziada, gdy oyciec mój będąc jeszcze młodym, bez zezwolenia, którego mu dać nie chciano, poślubił sobie tajemnie córkę ubogiego, ale poczciwego obywatela. Dziad mój dowiedziawszy się o tem, nie chciał mu nic z dóbr odstąpić, z oświadczeniem, iż przed

śmiercią jego nie ma się spodziewać ani szeląga. Tymczasem dziad móy stracił wszystko do ostatka, umarł sam z nędzy i rozpaczy, pozbawiwszy mego oyca wszelkiey nadziei. Tym sposobem oyciec móy wyczerpawszy ostatki żoninego bardzo miernego posagu (któregoby mu nie oddano, gdyby można było przewidzieć upadek dobrmego dziada), w naysmutnieyszém pogrążony położeniu, *zupełnego doznawał niedostatku*; rodzice żony nie mogli i nie chcieli mu dopomagać, a ja już em się był urodził, co nowych potrzeb i wydatków przymnożyło. W tak biednym stanie oyciec móy nie mogąc znieść na sobie przebywania w okolicach, gdzie go wszyscy znali, łatwo namówił żonę, która go czule kochała, do przeniesienia się w obce strony. Tak spieniężywszy resztę ruchomości, tając swoje urodzenie i nazwisko, udał się z moją matką i ze mną do Przemyśla; a nająwszy nam na przedmieściu ubogie pomieszkanie i zostawiwszy matce mojey nieco na żywność pieniędzy, w kilka dni od

nas odjechał i nie widzieliśmy go więcey jak 8 miesięcy. Miewaliśmy jednak od niego wiadomości, bo nam po kilka razy przysełał pieniędzy. Matka moja nie wiedząc bynaymniey o jego przedsięwzięciu, płakała nieustannie. — Nakoniec nic nieznaczący przypadek uwiadomił ją, że oyciec mój, zarabiając na życie własne i utrzymanie żony i dziecięcia swego, bawił się furmanką; a ile razy przyjechał do Przemyśla, zawsze nam przesełał pieniądze, widując nas, ale tak ostrożnie, żeśmy go nigdy widzieć nie mogli. Dopiero potém, kiedy już oyciec mój taić dłużey nie mógł swego postępowania, mieszkał razem z nami i tyle był w zarobku swoim szczęśliwy, że nam zawsze wystarczało na wygodne życie, stosownie do ówczasowego stanu, w jakim byliśmy żyć przymuszeni. — Tak przepędził oyciec mój lat 8, ja miałem wówczas lat 10; poznawałem wiele i niezmiernie mię bolało, kiedym widział smutek na twarzy rodziców moich. Chodziłem do szkół i w krótce zasłużyłem sobie na przychylność mo-

ich przełożonych, którzy mię przez wzgląd na móy stan, jednemu majętnemu obywatelowi do usług jego syna, w tychże samych szkołach zostającego, polecili. Oyciec móy byłby na to nie zezwolił, bo jak mi to umierając powiedział, pragnął tego, aby los mnie nagrodził to, w czém jego upośledził, pragnął zatém, abym na znacznego wyszedł człowieka; lecz w tymże samym czasie, co było z powodu *niesmaku życia i niewygod*, ciężką *złożony* chorobą, przyzwał mię do siebie, i uwiadomiając mię o historyi życia swego, zachęcił mię i owszem, abym nie odrzucał ofiarowanego mi mieysca, kładąc oraz na mnie obowiązek, abym o biedney matce pamiętał: we dwa dni potém umarł, a matka moja nie przeżyła go dłużey jak do dwóch tygodni. Żem i sam nie pospieszył za niemi, przypisać to muszę przyczynom bardzo naturalnym; matka moja czując od dawna dolegliwość swego stanu, tyle już miała osłabione zdrowie, że śmierć męża natychmiast ją dobiła; ja zaś dopiero teraz o wszystkiem uwiadomiony, dopiero teraz

początek zgryzot znalazłem, a będąc w biednym stanie urodzony i wychowany, nie miałem wyobrażenia o innym, tylko z powieści, i nie wiele mię to obchodziło. Moje przeto zmartwienie pochodziło tylko z przyczyny śmierci rodziców, matki zaś mojey zmartwienie miało więcey powodów. — Przeżyłem więc ten cios i z czasem mogłem być spokoynieyszym; wyznam jednak szczerze, *iż późniey zacząłem* wzdychać do tey świetności, do którey podług powieści oyca mego miałem się urodzić. — Tymczasem trzeba było służyć za chłopca; ale w krótce przyszedłszy do wyższych szkół, byłem w stanie, uczenia młodszych; odmieniłem przeto móy stan i zostałem dyrektorem przy dzieciach jednego obywatela, który mi nie źle pracę moje nagradzał. — Nabrałem wiele chęci do nauk, a że w Przemyślu pomnieysze tylko były szkoły, udałem się do Lwowa, a wynalazłszy dla siebie stosowne mieysce, gdzie mogłem żyć uczciwie, przedsięwziąłem z wyższych korzystać nauk. Lecz nie bez zarumienienia wyznać

ci muszę, zawiódłem się w zamiarach, bo zamiast pilnowania nauk, zacząłem pilnować pewney wdowy, którą po kilkokrotnem widzeniu szalenie pokochałem. Poznałem ją w domu, w którym ja czasem przebywałem. Nie będę ci opisywał jéy obrazu, była dla mnie wszystkiem, była bóstwem, bo w oczach kochającego, przedmiot ukochany jest zawsze naydoskonalszym, chociażby istotnie *na żadną nie zasługiwał* uwagę; i dla tego nic nie masz tak niebezpiecznego dla młodzieńca, jak niebaczne zakochanie się — co uyrzysz z ciągu historyi mojéy. — Byłem bez doświadczenia, a zatém sądziłem o rzeczach tak, jak mię w pierwszey chwili uderzały w oczy, ani zastanawiałem się nad tém, że powierzchowność oszukać może. Tym bardziey uwiodło mię zdanie: że w pięknem ciele piękna mieszka dusza, i to mię naywięcey zdradziło, żem tę myśl tak bardzo upowszechnił. Wdowa moja znała doskonale świat, łatwo jéy zatém było odnieść nademną zwycięztwo: ile jey pustoty wydawały

się w oczach moich roztlimnemi, tyle była roztropną w swoich przedsięwzięciach. Tak była ostrożną, że nikt nawet z jey domowników nie mógł dostrzedz jey intryg miłosnych. Z tem wszystkiem była to jedna z tych, o których mówią, że umieją żyć na wielkim świecie, chociażby im wcale inne mogło służyć nazwisko. Za drugiem widzeniem się ze mną, zwracała często rozmowy *do skromności*, *wielbiła* ją nadewszystko w młodym mężczyznie, wystawiała mię za przykład i tak nieznacznie rzucała na mnie pochwały, że bez obrażenia mojey skromności, trafiły do umysłu mego. Pochlebstwo jest to nayniebezpiecznieysza trucizna, bo jest niezmiernie smaczna i rzadko się znayduje, komuby się pochlebstwo zręcznie wypuszczone, nie podobało. — Ja nie sądziłem, iż mi wdowa pochlebia, ale tyle w niey znalazłem wdzięków powierzchownych, iż oczu od niey odwrócić nie mogłem; tyle przymiotów serca i umysłu, że zdawało mi się słyszeć mówiącego anioła, kiedy usta swoje otworzyła.

Oświadczyła mi sama chęć częstego przestawania ze mną, aby, jak mówiła, z tak słusznym i światłym młodzieńcem przyjemne prowadzić rozmowy; nie potrzeba było powtarzać mi tego żądania, za pierwszą wydarzoną porą odwiedziłem ją i dopełniłem mojego nieszczęścia. „WPan mię odwiedzasz“ rzekła, „bez świadków, zastanowiłżeś się nad tém, że bywając u mnie, podasz się w *porozumienie*, *jak byś się we mnie kochał?* Jestem pewną, że do tego nie masz naymnieyszego podobieństwa, a nadto ufam twojey skromności i twemu charakterowi, jednakże ludzie mogliby o nas mieć porozumienie.“ — Nie wiem co w tych słowach było takiego, co mię w skróś przejęło, zadrżałem cały, a całując jey rękę, rzekłem: bądź pani pewna, że moje dla niéy uszanowanie, rozpędzi wszelkie złe pomyślenia potwarców. Na te słowa uśmiechnęła się mówiąc: nie jest to koniecznie potwarzą, kiedy mówią o kim, że się kocha, bo miłość nie jest występkiem; jednakże ja wpana proszę, o takie względem

mnie postępowanie, żebyś o to nie mógł być posądzony.“ — Te jey słowa rozdrażniły mi serce tym bardziey, że już byłem mocno zakochany. Nie odpowiedziałem jey nic na to, ona też widząc moje pomieszanie zwróciła mowę do czego innego, tylko czasem używała słówek i żarcików, które co raz bardziey umysł móy zapalały; a pożegnawszy się z nią, mogłem się już nazwać zapamiętałym *kochankiem*. Rozmyślałem resztę dnia i całą noc następującą nad tem, co się z duszą moją działo, i nie znalazłem w niey żadnego innego obrazu, nad obraz moiey kochanki.

Dni następujących zapomniałem o naukach i wszystkich moich obowiązkach; roztropna wdowa zajęła mię całego, pobiegłem widzieć ją, oświadczyła mi grzeczną wdzięczność za odwiedziny, lecz oraz wyłajała mię, żem przynaymniey dnia jednego nie opuścił. „Nie moją będzie winą, mówiła, jeżeli cię kto posądzi; ja sama ledwie bym nie myślała, że się we mnie kochasz; lecz jeżeli tak jest, będę się starała wypro-

wadzić cię z tego błędu.“ — Chytra wdowa znała dostatecznie stan duszy mojey i podobno lepiey aniżeli ja sam. Naymocniey zachwalała miłość, ale między inną i sobą takie znaydowała niepodobieństwo (była bowiem majętną i odemnie kilką laty starszą), tyle użyła dowcipu na draźnienie mnie, iż upadłszy jey do nóg, wyznałem miłość moję, prosząc naymocniey o przebaczenie, żem się ważył moje ku niey zwrócić zapały. — Rzekła mi z łagodnością, iż za to gniewać się nie można, gdyż to nie było moją winą, co serce czuje; oświadczyła mi swoje politowanie prosząc mię mocno, abym o niey zapomniał. — Na to odpowiedziałem, że ją owszem wiecznie kochać będę. — Po tey przysiędze, powróciłem do siebie w mocnem postanowieniu nie złamania jéy nigdy. — Odwiedzałem ją co dzień, i co dzień stawałem się śmielszym; nakoniec znalazłem się nayszczęśliwszym kochankiem. Tym czasem obowiązki moje i szkolne zatrudnienia spały. Rok upłynął, a ja żadnych nie uczyniłem postępów, utraciłem

mieysce, w którém do tychczas zostawałem; oyciec uczniów mnie powierzonych, był dość delikatnym, że mi nie wyrzucał niedbalstwa, ale oświadczył tylko, iż na ten rok żadnego dla nich nie chce mieć przewodnika; później jednak dowiedziałem się, że mię oddalił jedynie z przyczyny mojéy lłopieszałości. Zostałem bez sposobu do życia i poszedłem złożyć me troski na łono ukochanéy wdowy, która się niezmiernie nademną litowała, narzekając i rzucając tysiąc przeklęstw na niesprawiedliwość ludzi. Musiałem żyć bardzo miernie, bo zapas pieniędzy inaczéy nie pozwalał; mojéy kokochance nie śmiałem mówić, ona też oprócz miłości nic mi więcéy nie ofiarowała. Lecz wszelkie przykrości były mi znośne, bom kochał i byłem kochany. — W tym stanie upłynął rok drugi, ja zawsze byłem szczęśliwy, i kiedym się tego naymniey obawiać mógł, doznałem skutków niestateczności losu. Byłem już tak ośmielony do mojéy wdowy, że częstokroć wchodziłem do jey pokoju bez opowiedzenia się. — Ra-

zu jednego wszedłszy nie zastałem jéy, tylko list do niéy, porzucony na stole; uniosła mię ciekawość, przeczytałem i znalazłem go w następującéy osnowie.

Kochana Rozalio!

Gdybyś nawet żadnych nie miała wdzięków, szalałbym dla ciebie przeto samo jedynie, że tyle jesteś dla mnie powolną. — Będziesz więc na dzisieyszym balu maskowym. — Nie *przyydziemy razem*, *nikt* nas przeto *nie* posądzi, lecz trzeba abyśmy się łatwo poznali. — Ja biorę na siebie postać Bachusa — a ty śliczna krolowa napisz mi jaką będziesz boginią. — Czekam niecierpliwie chwili widzenia ciebie.

Twóy z duszą i ciałem sługa —

P. S. Zaklinam cię, urządź tak twóy dom, aby mię, gdy cię odprowadzę, nie postrzeżono, bo mam ci ważną tajemnicę objawić, ale bez świadków. —

Nie było żadnego podpisu, nie mogłem zatém wiedzieć od kogo to wezwanie pochodziło, domyślać się tylko należało, że bilet był od znajomego dostatecznie. Złość mię

porwała, sam nie wiedziałem co przedsię-brać; zacząłem bez myśli przerzucać papiery, z których wypadła kartka jakaś zapisana; był to żądany a zapewne jeszcze nie odesłany odpis w te słowa:

Móy lubi drogi przyjacielu!

„Będę ubrana jak *Psyche*, po tym stroju łatwo mię poznasz. Cóż mam czynić, zwyciężyłeś mię. Powrócimy z balu karetą najętą, *którą wraz z ludźmi* odeszlę, a zatem nie obawiay się żadnego podeyrzenia.

„Łatwo sobie wystawisz, mówił daley Franciszek, co się działo ze mną, kiedym to przeczytał, nie wierzyłem oczom moim; przychodziła mi nawet myśl, iż moja kochanka dla jakiegoś doświadczenia mnie, podrzuciła te pisma; chciałem się przekonać, wybiegłem prędko, aby mię powróciwszy nie znalazła, z postanowieniem być na balu świadkiem mego nieszczęścia. — Lecz aby tym lepiey poszło, abym nie dał powodu jakiego dorozumienia się, żem jeden dzień opuścił, w godzinę przybyłem do wdowy, a udając, że mam do czynienia

z krewnym, który tu przyjechał, nie długo bawiłem. Nie wiem czy widziała moje pomięszanie. —

Z *jakąż* niecierpliwością oczekiwałem godziny balu, na który chciałem póyśdź, ażebym się przekonał, albo o niewinnym żarcie moiéy kochanki, albo o jéy zdradzie i chytrém oszukaństwie. — Wziąłem więc maskę ażebym nie był poznany, a wiedząc dokładnie jak *ma* być *ubrana para*, *która* się moim kosztem cieszy, łatwo mógłem uważać wszystko, sam nie będąc poznany. O godzinie 10. biegnę na bal; prawie pierwszy wszedłem do sali; chciałbym posunąć wszystkie zegary, tak mię dręczyła niecierpliwość. O godzinie jedenastéy widzę wchodzącego *Bachusa*, który przebiegłszy salon, zbliżył się napowrót ku drzwiom i na wszystkich wchodzących poglądał; jak zwykle czyni ten, który na kogoś oczekuje. Tymczasem nie widząc nadchodzącéy *Psyche*, zaczynałem już narzekać na siebie, żem ją tak mógł posądzać; bo mówiłem sam w sobie: być może, *iż* przypadek sprowadził innego

Bachusa, który z moją wdową żadnego nie ma związku; ale mię znowu zastanawiały listy, które u niéy czytałem; nakoniec godzina dwunasta okazała stan rzeczy. Na widok wchodzącey bogini, którey natychmiast czekający na *nię Bachus* podał rękę, zniknęła wszelka wątpliwość, a mieysce jéy zajęło po krótkiéy chwili to przeświadczenie, że moja wdowa, którą nad życie kochałem, *była nayniegodziwszą* szalbierką. Zapaliłem się naywiększym *gniewem*, i nie wiem co mię wstrzymało, żem jéy natychmiast nie zdarł maski, ażeby ją zawstydzić; nie uczyniłem jednak tego i wymógłem tyle na sobie, żem chciał cierpliwie czekać końca. Nie potrafię ci opisać mojego stanu. Miłość, nienawiść, złość, smutek, rozpacz, wszystko mną razem miotało; nie raz nawet odzywała się nadzieja, którey powodu sam naznaczyć nie umiałem.

Nie mógłem jéy porzucić, nie mógłem przemówić do niéy, ale pragnąłem słyszeć ich rozmowę; słyszałem ją niestety, a imie

moję z szyderstwem wymawiane, rozbroiło zupełnie cierpliwość moję.

Autor tego rozdziału czytając Idziego Blassa z Santylany, żałował nie raz, że w naszym języku mało mamy dotąd w podobnym smaku narodowych dzieł: bo, mówił, lubo cnoty i występki wszędzie są jedne, z tem wszystkiem, gdzie idzie o zachęcenie do pierwszych, a odstręczenie od drugich, nie tyle na nas działają obce przykłady, jak te, które z oyczystych zalet i narowów są brane. Więcey nas obchodzą zwyczaje i obyczaje nasze, więcey je czujemy, więcey zatem z czytania podobnych dzieł odnosilibyśmy korzyści. Z tego powodu uczynił małe doświadczenie, w ciągu którego zdawało mu się, iż i z naszych zwyczajów i obyczajów równie przyjemne, równie użyteczne możnaby tworzyć dzieła. Oby ta próbka zachęciła zdolnych rodaków do pism podobnych; bo wyznać należy, że o dziełach obyczajowych narodowych, któreby tylko od niechcenia przyjemnym i bawiącym sposobem zaymując umysły, skutecznie na nich działały, aż dotąd zbyt jeszcze mało myślano.

Jeżeli sposobność posłuży, może autor tego pisma, dalszy ciąg jego ogłość.

O stanie oświaty i człowieczeństwa w przyszłym wieku (XX.) z dzieł T. H. Frydrycha.

(Objawienie poetyckie.)

Powracałem właśnie z popisu szkolnego, na którym dwunastoletni *Cycero* łacińską rozprawę o stanie filozofii u Egypcyan i Chaldeyczyków, a czternastoletni *Plato* grecką krytykę błędów *Konfucyusza* i *Zoroastra* czytali. Zdziwiony obfitością i mocą światła, z tych młodych mędrców wychodzącego, wstąpiłem do jednego badacza natury, który zważywszy naynowsze cuda zwierzęcego magnetyzmu, zgromadzonym słuchaczom teoryą *nieznanych* sił przyrodzenia tłómaczył.

„Dla Boga!“ — zawołałem idąc do domu — „jak piękne, jasne południe obiecuje ta jutrzenka! jaka pochodnia zapala

się dla nas w ciemney massie tajemnic przyrodzenia!" —

W domu rzuciłem się na sofę natężając co raz bardziey uwagę moję. Myśli moje bujały po nieprzeyrzanych krainach naynowszych odkryć i wynalazków. Co tylko w filozofii, poezyi, fizyce i chemii, w pięknych sztukach i mechanice wielkiego i wspaniałego na świat wychodzi: wszystko to nakształt pstrych *obrazów latarki czarodzieyskiey, przesuwało* się przed moim wzrokiem wewnętrznym.

„Rodzay ludzki olbrzymim postępuje krokiem — myślałem sobie. — Dziesiątek lat więcey teraz przynosi owoców niż niegdyś wiek cały; a jeżeli teraźnieyszość jest zarodem przyszłości, to chciałbym wiedzieć, jak też w przyszłym wieku" — — — „wyglądać będzie" — chciałem mówić. —

Ale właśnie w tey chwili bożek snów przeciął nić dalszych rozważań moich. W jednem okamgnieniu znalazłem się w roku 1901. Poglądałem naokoło siebie, chcąc wyśledzić gdzieto ja jestem. — Z kańczuga,

który przy nogach moich leżał, wniosłem, że muszę być w północnéy części Europy, gdzie to narzędzie muzyczne jest w używaniu. Aby się o tém przekonać, przystąpiłem do chłopka niedaleko orzącego, wziąwszy z sobą kańczug, który uważałem jako talizman przez mojego dobrego anioła mnie nastręczony.

I tak było w saméy rzeczy. Bo skoro go chłopek zoczył, zdjął czapkę, zastanowił swóy pług i zbliżył się ku mnie z uszanowaniem. —

„Jaki rodak jesteś?" zapytałem. —

„Żmudziak, gnaediger Seigneur!" odpowie chłopek. — Dałem mu poznać moje zadziwienie, że trzema językami jednym tchem mówi.

„Tych języków wyuczył nas mistrz, który się u WPana Dobrodzieja w ręku znayduje" — odpowiedział dobrą cycerońską łaciną.

„Co? nawet po łacinie?" — zawołałem, —

„Od czasu, rzecze, jak w naszych szkołach wieyskich *Cycerona* i *Homera* wykładać zaczęto — mówi każdy chłop żmudzki po grecku i po łacinie.“

Ukłonił mi się głęboko i poszedł do swojey pracy. — Dopiero teraz postrzegłem, że pług jego idzie bez koni i wołów; a gdym zdumiony, pytał o przyczynę tego zjawiska, uśmiechnął się na moję niewiadomość i wytłómaczył mi, *że to jest pług* machiną parową pędzony, którą pewien mędrzec w roku 1850. wynalazł, a przezto imie swoje w dziejach wykształcenia narodu nieśmiertelném uczynił.

W samey rzeczy pług ten, ztwardniałą ziemię krajał jak masło z taką szybkością i łatwością, że w 10 minutach cały morg roli był zaorany; chłop siadł na swoję kolaseczkę, palił *Cygaro* z *Hawanny* i czytał sobie sielanki Wirgilego w oryginale.

„Na, to musi być prawda! —“ rzekłem przyszedłszy nieco do siebie z zadziwienia. — „Widać zaraz, żeśmy o cały wiek postąpili.

„Pan dobrodziey zdajesz mi się być urodzonym na innym planecie" — rzekł chłopek — „inaczey byłoby mu wiadomo, że od czasu jak mądry *Omus* nauczył nas tajemnicy podbijania żywiołów i rządzenia niemi podług woli naszey, wszystko do czego tylko siły ludzkiey lub bydlęcey kiedyś używano, teraz wiatrem, wodą, ogniem i parą pędzone bywa. Nasze zboże sieje się, kosi i *młóci machiną wiatrową*; nasze wozy, sanie i statki na wodzie machina parowa pędzi. Co większa, od pół wieku tak daleko postąpiliśmy w mechanice, że już mamy machiny do zabijania ludzi i wołów, do pieczenia chleba, a nawet do ogolenia brody i wytrzepania grzbietów całéy kompanii żołnierzów na jeden raz. Mamy machiny rekwizycyyne, które za pomocą kańczuga całe nieposłuszne gminy do rozumu przywodzą. Co mówię? Mamy machiny parowe, przez które, całe biura, i machiny rachunkowe przez które całe izby obrachunkowe pędzone bywaią: coś już nawet przebąkują o machinach wyrokowych i referato-

wych, o fabrykach praw, przez które w jednem okamgnieniu, całe prowincye rozkazami i ustawami napełnione być mogą, także o fabrykach rymów i recenzyy, które za pomocą wody, wiatru i pary w czynność wprawionę, znaczną liczbę bezużytecznych pismaków w kąt zapędzą. Wszystko to winniśmy mądremu *Omusowi*."

„O proszę cię" — zawołałem zdziwiony — gdzież ja znaydę tego cudownego człowieka, ażebym przed nim upadł na kolana i cześć mu oddał? — „*Lupus in fabula!*" odpowiedział chłop, i wyciągnął rękę — oto złatuje z góry."

Widok tego ptako-człeka takie uczynił na mnie wrażenie, żem się natychmiast przebudził.

O stosunkach towarzyskich. (*)

Na próżno stronnicy rozwiązłości okryty płaszczykiem wolności utrzymywaliby, że nie można powstawać na jey zbytki, nie będąc niesprawiedliwym; na próżnoby się odwoływali do szkód, jakie z nadużycia w pismach wyniknąć mogą; bo czyliż przeto, że podpalacz *używa* ognia *dla* zrządzenia pożaru, władza powinna wnosić, *iż* należy zabronić ognia wszystkim obywatelom? — czyliż potrzeba zamknąć na zawsze wszystkie drogi i i zabraniać podróży, aby uniknąć rozbóyników po gościńcach? czyliż głos uniesionego namiętnością, własnym, osobistym interesem zaślepionego pisarza, komu innemu wzgardę przynosi? — Dobrzy książęta i ich mądrzy ministrowie nie obawiają się satyr ani paszkwilów. *Tytus*, *Marek Aureli*, byliżby mniey bezpieczni na tronie, gdyby jaki bezrozumny krzykacz, po-

(*) Początek tey rozprawy znaydował się w Nro. 8. pisma poznańskiego na Sierpień 1822 roku.

wstawał był na ich rządy? — Prawdy boją się źli tylko; potwarz publiczna nic nie zdoła przeciw ludziom, których dobrodzieystwa powszechność doznaje. Nieprzyjaciele narodu zasługują na to, aby ich okryć wstydem i hańbą. — Pismo jest rozwiozłe, kiedy prawdziwie szkodzi społeczeństwu; ale nie wtenczas, kiedy się nie podoba jego nieprzyjaciołom.

Ale powie znowu *kto: jakże dalcko ma* się rozciągnąć ta wolność? Jeżeli nienawiść osobista, może żądza zemsty, duch sprzeczności i zamięszania podda dzieło, nie potrzebaż za nie ukarać pisarza? — Każdy pisarz dzieła nieprawego podpadnie karze; niesmak powszechny będzie mścicielem napastowaney cnoty i zasługi; wzgarda, zgryzota i hańba bywają powszechnie udziałem pisarzów, których piórem namiętność i szaleństwo powodowały.

Cóż więc jest śmiałość w pismach? Jest to dać poznać swoim współobywatelom prawdy, których nie znają; jest to odkryć im zasady, które są użyteczne, chociaż przeci-

wne przyjętym przesądom, albo namiętnościom tych, co o ich losie stanowią; jest to udzielić im swoich wyobrażeń, aby o nich sądzić byli zdolni, i uznawszy je za dobre, przyymowali, albo uznawszy za złe, odrzucali.

Pod rządem absolutnym nazywa się burzliwością słuszna niecierpliwość obywatela, którą śmie okazać na widok prawołamstwa; *ale rząd sprawiedliwy, mający* zawsze na celu szczęśliwość rządzonego ludu, nie potrzebuje okrywać tajemnicą sposobów, jakiemi rządzi. Kto nie chce słuchać prawdy, zdaje się przyznawać, że źle działa, i że nie ma zamiaru działać lepiey na przyszłość.

Umiejętność rządzenia, byłażby sama jedna *tylko*, która nie potrzebuje ni doświadczenia, ni rozwagi ludzkiey? Czyliż ci, w których ręku władza jest złożona, powinni mniemać, że ich gieniusz i przenikliwość są nieomylne i wystarczą w naytrudnieyszych okolicznościach?

Gęsi, mówią, niegdyś zbawiły Rzym. Naymnieyszy czasem z obywatelów, może

odkryć zdanie użyteczne, od którego zawisło szczęście państwa całego. Potrzeba odpowiadać książką na książkę. Rząd sprawiedliwy chce rozkazywać ludziom rozumnym i zdolnym czuć szczęście swoje: on wie, że poddany, im oświeceńszy, tym będzie cnotliwszy. — Przeciwnie po nayliczniey-széy kupie głupich niewolników niczego spodziewać się nie można. Człowiek wolny nie lęka się rozmnażać swoich następców, bo tym sposobem pomnaża byt swóy dobry. Naród jest szczęśliwy, kiedy rząd umie kierować jego namiętności ku dobru ogólnemu: a panujący który pozwala poddanym oświecać się przez rozum o ich własnym interesie, znayduje ich zawsze cnotliwych i spokoynych; bo jakżeby nie miał być spokoynym i cnotliwym człowiek, któremu wolno jest mówić: *jestem panem osoby mojey, mogę rozrządzać moją wolą; żadna siła nie zdoła mi wydrzeć owoców mojego przemysłu; żadna potęga nie pozbawi mnie dobrodzieystw, które przyrodzenie do wspólnego użycia dzieciom swoim zostawiło.*

O kartach.

Karty do grania nazywane były w początkach przez Włochów *naibi*, przez Hiszpanów *naipes*, co w językach wschodnich znaczy przewiedzenie, przepowiedzenie; jest także domniemanie, że naypierwey do Azyi i Afryki, przez Cyganow, które są narodem indyyskim, wprowadzone zostały; do Europy zaś weszły od wschodu.

Pierwsze karty były malowane, i za takie uznane są karty włoskie z r. 1299.

Ale kiedy i przez kogo karty wprowadzone zostały do Polski, nie wiele o tem wiedzą historycy: zdaje się wszakże, iż ta zabawa, w naszych czasach tak powszechnie lubiona i używana, od dawnych lat była tu zagnieżdżona, bo już w wieku 16. narzekali na jey natręctwo ludzie, którzy w rozrywkach swoich, istotney rozrywki szukali; jak się to pokazuje w *Dworzaninie Łukasza Górnickiego* (*) gdzie mówi: „A gdy do niego (do X. Maciejowskiego) często dworzanie pan Kryski, pan Wapowski, pan Aleksander Myszkowski, pan Derśniak, pan Bojanowski i inni zacni przyjeżdżali; trafiło się raz, iż X. biskup po obiedzie u stołu sie-

(*) *Łukasz Gornicki* pierwszy z prozaików naszych, żyjący w pierwszey i drugiey połowie 16. wieku, bawił długi czas na dworze *Samuela Maciejowskiego* biskupa krakowskiego naówczas kanclerza; i tam znalazł pochop napisania swojego dworzanina, w którym naucza, jakimi być powinni ludzie wyższego wykształcenia.

dząc, gdy ktoś karty wspomniał, powiedział: „Azaby się nie mogła znaleźć jaka insza krotofiła, nie ta ustawiczna karty? czemuby też kto nie wniósł owego obyczaju do nas, który jest we Włoszech, iż szlachta zacna, polerując rozumy swoje, wynayduje gry rozumne i tych używa, w których się nierówno większa uciecha i pożytek znayduje, a niżeli w kartach: zaprawdę W. M. by to przystało; którzy świeżo z Włoch przyjeżdżacie, nie zaniechywać tych dobrych zwyczajów; ale owszem do tego wieśdź drugie, żeby się ich imowali." — Na to pan Kryski tak odpowiedział — „Jako wiele obyczajów dobrych jest we Włoszech M. księże, tak też ten, który ja bardzo chwalę, iż ludzie zacnieysi, mają tę zabawę pożyteczną, ku obostrzeniu rozumu, gry rozmowne: i bardzobym ja temu rad, aby się ich też u nas ludzie nie sprośni jęli." —

Takie było mniemanie za czasów Górnickiego: a teraz? *Tempora mutantur.* Dziś nie jeden podobno mniema, że nie masz rozumu, ni uciechy, tylko w kartach; a przecięż wiek nasz chce się zwać oświeconym: szkoda tylko, że nie może wyrównać wiekowi Górnickiego. —

Pająk i Jedwabniczek.
Bayka.
(przez Jasińskiego. (*)

Co to za poczwarka dzika? —
Rzekł pająk na jedwabnika —
Mnie się zdaje że on przędzie;
Obaczymy co to będzie.
Nieborak! ja go żałuję,
Widział coś i naśladuje.
Chceszli, rzeczę, poznać sztukę,
Proszę do mnie na naukę:
Trzeba móy bracie kochany,
Skakać od ściany do ściany
A nie tak na rogu stołu
Gnić z twą robotą pospołu;
Wszakże twey całey osnowy,
Nie ma na orzech laskowy. —
Robak mu rzecze pokorny:
Cenię twóy talent wyborny;
Lecz dziękuję za przestrogę,
Ja inaczey prząśdź nie mogę;
Nie chcę w robocie zakału,
Wolę dobrze, choć pomału. —

(*) Waleczny i znakomitych w zawodzie swoim zasług szacowany i żałowany od narodu Jasiński, był także i muz przyjacielem. Zamilczając z uszanowaniem jego czyny godne pióra znających go zbliska uczonych rodaków, mniemamy uczcić tem pamiątkę męża, kiedy niektóre z pism jego ulotnych umieścimy.

Bańka mydlana.

Bayka przez tegoż.

Pod jasnem słońcem bujała sobie,
W setnych kolorach bańka mydlana;
Dmuchnął ktoś z boku — już po ozdobie,
Zniknęła pompa wiatrem nadziana.

Staw i Strumyk.

Bayka. (Pełka.)

Wód ogromem staw nadęty
Rzekł, pieniste tocząc wały:
Nie ścieśni mię zima pęty,
Nie zaszkodzą mi upały.
Ja jestem zwierciadłem słońca,
Co dzień się przegląda we mnie,
Jasnym od końca do końca
Krocie ryb żywię daremnie.
Strumyk co tym w niego wpadał,
Mruczy na to, niby staje,
Rzekł: zbyt chełpliwie staw gadał;
Ja mały wody mu daję.
Przyszła jesień, staw spuścili,
Okazałość próżna ginie;
Pyszny zniszczał w krotkiey chwili;
Strumyk jak płynął tak płynie.

Dziwactwa miłości.

Molski.

W swém rozrządzeniu miłość jak macocha,
Źle serca klejąc okrutnie je gubi,
Irydę kocham, ona mnie nie kocha,
Egli nie cierpię, a ona mię lubi;
Doryda piękna, co to wszystkiém włada
I w swey urodzie kształty ma tak dziwne,
Na wszystkich jarzmo niewolnicze wkłada,
Niektóre serca ma sobie przeciwne;
Filis się wszystkim podoba serdecznie,
A oney nikt się podobać nie może;
Dorys chce kochać każdego statecznie,
A jéy nikt nie chce . . . Coż to robić Boże!

DONIESIENIE.

Jeżeli obecna książeczka znaydzie czytelników, może w krótce wyyśdź na prenumeratę druga podobna, sześć arkuszy wynosząca, a może i więcey, co zależéć będzie od ilości rozdać się mogących egzemplarzy. Prenumeratę na Tomik II. po Złt. p 2 przyymować będzie księgarnia *E. S. Mittlera w Poznaniu.*

SPIS RZECZY.

W Nadworney Drukarni W. DEKERA
i spółki.